

GeFreiter i POWSTANIE WIELKOPOLSKIE

Zaluję, iż nie mogę już mojemu Ojcu zrelacjonować przyczyn szczególnej nienawiści Hitlera do Poznania jako miasta zawsze polskiego. Równie szczerze jednak dedykuję ten przyczynek wszystkim jego współtowarzyszom walk Powstania Wielkopolskiego, którzy otoczeni zasługami szacunkiem swych najbliższych i całego społeczeństwa polskiego, obchodzić będą 27 grudnia 47 rocznicę swego pamiętnego czynu zbrojnego.

Kiedy po ucieczce Greisera z Poznania w styczniu 1945 roku szef kancelarii NSDAP Bormann, proponował karę śmierci, przykładowa dla tych, którzy opuścili powierzone im placówki na ziemiach niemieckich, Hitler wydał mu polecenie umorzenia sprawy, „ponieważ w przypadku Poznania... nie chodzi o niemieckie miasto”.

Czyżby te opinie o polskości Poznania, wydał wbrew własnym przekonaniom dla osłonięcia pupila Himmlera?

Okazuje się, że we wszystkich zachowanych stenogramach nieoficjalnych rozmów Hitlera, Poznańskie i Poznań występują jako dzielnica i miasto, które są mu wciąż antypatyczne i które dopiero trzeba zniemczyć.

Skąd takie stanowisko u człowieka, który nawet Kraków zwykł oficjalnie uważać za „praniemiecki”? Ponoć Greiser, tłumacz swym najbliższym współpracownikom, dlaczego Fuehrer odmawia kategorię przyjazdu do Poznania (rzeczywiście mimo że wielokrotnie przejeżdżał wtedy w latach 1939-45, nie postawił w nim swej nogi) przedstawiał następującą wersję pochodzenia antypoznańskiego kompleksu Hitlera.

Po zatruciu gazami na froncie zachodnim ówczesny GeFreiter leżący był w szpitalu wojskowym w Pasewalku (40 km na zachód od Szczecina — dziś NRD). Tam właśnie 10 listopada 1918 roku dowiedział się o wybuchu w Niemczech rewolucji, przy czym (jak sam napisał w „Mein Kampf”) rozplątał się „po raz pierwszy od śmierci matki”. Nie wiadomo co sprawiło, że wciąż ledwie widzący, już w kilka dni później znalazł się w Poznaniu. Być może postanowił usunąć się z rejonu nadmorskiego, pełnego zrewolucjonizowanych (z taką nienawiścią wspomnianych w „Mein Kampf”) marynarzy do rolniczej, a więc spokojnej i zdawałoby się mniej podatnej na rewolucyjne nastroje „Provinz Posen”.

Ale już na dworcu poznańskim usłyszał głosy nielicznych tylko Niemców — ostrzegających przed coraz bardziej rozzuchwalonymi Polakami. Usłyszał też wszędzie rozbrzmiewająca znienawidzona mowa polska. Tak to podziało na Hitlera — nawykłego już w ciągu inwalidztwa do reagowania w sposób typowy dla niewidomych, a więc w oparciu o wrażenia słuchowe — że natychmiast ruszył w niełatwą nawet dla zdrowego człowieka drogę do dalekiego Monachium; wywiózł z Poznania przekonanie, że to nie tylko polskie miasto, ale także siedlisko antyniemieckiego buntu u wrót Berlina.

Te poglądy znalazły wkrótce swe potwierdzenie w wybuchu Powstania Wielkopolskiego. Hitler ocenił je jako „bankructwo niekonsekwentnej polityki germanizatorskiej cesarskich Niemiec, gdyż nie należy liczyć na germanizowanie nie nadających się do tego ludzi” i jako „czyniacie swymi terytorialnymi następstwami hańbę Wersalu jeszcze bardziej nieznosną...”

Ponoć też Hitler właśnie przykładem Powstania Wielkopolskiego dokomentował „groźną dla wszelkich wysiłków niemieckiej polityki wschodniej prawdziwość początkowych słów polskiego hymnu narodowego”.

Oto czym był Poznań i Powstanie Wielkopolskie dla jednego z najbardziej zażartych wrogów narodu polskiego.

Być może ktoś tam w NRF będzie się użalał, że zamiast pójść w ślady 36 polskich biskupów, proszących o odpuszczenie (Vergebung) naszych narodowych przewinień za cierpienia milionów Niemców wypędzonych z ziem polskich i obiecujących zapomnienie — ja jeszcze wydobywam z lamusa tego rodzaju szczegóły. Wszak nie służą — może ktoś udowadniać — chrześcijaństwu pojednaniu Polaków z tymi kołami nadreńskimi, którym patronują politycznie i duszpastersko biskupi niemieccy.

Nie mam też złudzeń, że prędzej czy później ktoś tam w NRF będzie twierdził, że czyn Powstania Wielkopolskiego należy także w świetle listów biskupów polskich i niemieckich oceniać jednoznacznie, jako masowe wystąpienie Polaków przeciwko miłości bliźniego. Po pierwsze bowiem — powie ów ktoś — Powstańcy Wielkopolscy, działając pod wpływem nienawiści, strzelali do bliźnich. Zadawali cierpienia Niemcom, którzy przybyli prawnie do Poznańskiego, ba, nabyli „Heimatrecht” do Poznańskiego, ponieważ... ściśle tak, jak to w swej odpowiedzi przyjętej z wdzięcznością przez biskupów polskich, udowadniali ich soborowi bracia niemieccy, zostali tu „zaproszeni przez władców”. Przecież — łatwo udowodni ów ktoś, że Poznańskie, do roku 1918, stanowiło część monarchii pruskiej, rządzonej z woli Boga przez Hohenzollernów.

Po drugie — powie ktoś inny w Bonn — po owym nieszczyśnym Powstaniu, Polacy wypędzili „na międzyaliancki rozkaz zwycięskich mocarstw” z „ziemi wersalskich” (bo jeśli biskupi polscy mogli napisać o znacznej części Polski „ziemię poczdamską”, dlaczego nie ma się w NRF używać określenia „ziemię wersalskie”) — większość owych Niemców zaproszonych tu przez rodzimych władców.

Owych niosących kulturę pruskiej biurokracji urzędników — Niemców, którym nawet płacono za „przybycie na zaproszenie do „zacofanych”

Dokończenie na str. 2

ŚWIĄTECZNA PODRÓŻ OD TATR DO BAŁTYKU

Zapraszamy Państwa w świąteczną podróż. Trasa od gór do Bałtyku. 1068 km z biegiem Wisły. Kto chętny — z nami. Wehikuł gotów. Zbudowany jest z informacji gospodarczych, z danych statystycznych, ze wspomnień i porównań. Liczymy zresztą, że Państwo sami wzmocnią tę konstrukcję swymi wiadomościami, doświadczeniami i wyobraźnią...

A ta nasza Wisła...

...na Śląsku wytrysła. Ściślej, na zboczu Góry Baraniej, 1106 m nad poziomem morza. I od razu z tych sielankowych wyżyn, cichych i pokrytych zielenią, spłynęła w krainę czarnego węgla, kominów i zgiełku. W centrum polskiego przemysłu.

Na Śląsku — jak w przekładaniu: kopalnie przepłatają się z hutami, a te znów z zakładami przemysłu metalowego. Ale przede wszystkim okrąg ten kojarzy się z węglem. To było nasze wiano na drogę industrializacji. Z wianem jednak różnie bywa. Jedni je marnotrawią — proszę sobie przypomnieć zamknięte kopalnie w międzywojennym 20-leciu. Inni znów potrafią posiadać dobrą pomnożkę.

Aby właśnie to lepsze rozwiązanie stało się naszym udziałem, zwiększając z roku na rok produkcję węgla nie poprzestaliśmy na jednokierunkowym rozwoju. Polska wybrała wielostronną rozbudowę przemysłu. Podstawą przy takim założeniu gospodarczym jest stal.

„Wisła toczy swe fale i oto jesteśmy pod Krakowem.

Znasz li ten kraj?

Od czasu, gdy miłośnicy Krak pożyli się uciążliwego sublokatora z podwawelskiej jamy, rozpoczęła się wielka kariera książęcego grodu. Mnóstwo tytułów zdobył Kraków do chwały. Politycznej, gospodarczej, kulturalnej, artystycznej. Ale zmęczony wiekami historii zaczął zapadać w bezruch. Z tego stanu wyrwał go potężny zastrzyk przemysłu.

Dzisiaj dawnej wsi Mogiła państwo znają. O Nowej Hucie piosenkę wystrząsł podsumować kilku dany: 100 000 mieszkańców, zmierzch dawnych starć i śpieć, awans cywilizacyjny, obyczajowy i kulturalny nowej dzielnicy krakowskiej i coraz ściślej symbioza z miastem.

Co zaś się tyczy samej huty, produkcja wynosi 2,6 mln. ton stali rocznie (dla orientacji: w 1938 r. we wszystkich polskich hutach niewiele przekraczała 1,4 mln. ton), każdy dzień pracy przynosi wytwórczość wartości 36 mln. zł i zysk 8 mln. zł. Perspektywa: 7,7 mln. ton stali rocznie.

Wzywa chemia

Tak! Zanim ruszymy w dalszą drogę, kilka słów trzeba poświęcić tej gałęzi przemysłu. Wiadomo, że chcąc dziś ocenić poziom gospodarczy jakiegokolwiek kraju, przede wszystkim należy przyrzeć się dynamice wzrostu w produkcji kwasu siarkowego, nawozów sztucznych, w przerobie ropy, w tworzywach.

Nad Wisłą nie mogło zabraknąć przemysłu chemicznego. Tym bardziej, że lubi on wielką wodę. Proponujemy teraz odstępstwo od kolejności dyktowanej szlakiem geograficznym. Problemowo wybieramy nowo kreowane metropolie chemii.

...Ładujemy w Tarnobrzegu. Zaczynamy od siarki. Sama, bez kalkulacji człowieka i uzasadnień eko-

nomiczno-technicznych, obrała sobie za siedlisko nadwiślańskie brzegi i koryto. W 1958 r. udokumentowano tu cenne złoża. W 1960 r. ruszyła pierwsza kopalnia. Dzisiaj siarka stała się reprezentacyjnym surowcem narodowym. Wydobycie w 1965 roku: 420 000 ton, siódme miejsce na międzynarodowej tabeli eksploataatorów tego surowca.

Z Tarnobrzega — skok do Puław. Pierwszy kombinat azotowy rusza łada dzień. Puławy II budują się w szybkim tempie. Obydwa kombinaty — a w szczególności drugi — uchodzą za najbardziej nowoczesne obiekty tego typu w świecie. I tak, dawne Ateny książąt Czartoryskich stają dziś u progu azotowej superkariery.

Mijamy zakręt Płocka, by zawitać do Płocka. Rafineria przenabiała już 2 mln. ton ropy rocznie. W przyszłości półknie i 9 mln.; petrochemia wkrótce rusza. Te lakoniczne informacje oznaczają, że za jednym zachodem polski przemysł chemiczny zdobył bazę, która pozwala przestać się na nowy niezwykle efektywny surowiec. Że będziemy mieli coraz więcej paliwa, smarów, olejów, półproduktów nieodzownych dla rozwoju tworzyw sztucznych, włókien syntetycznych, farmacji, środków piorących, wszystkiego zresztą tego, co potrafi wyczarować współczesna chemia, a czego i na wolowej skórze by się nie spisało.

A że i o włóknach była mowa... tak jest — dążymy wprost do Torunia. Dawniej słynął z pierników. Prawda, przednie były, smakowite. Ale bądź co bądź tylko pierniki. Dziś zaś Toruń, nie wyrzekając się pierników, został kreowany na głównego dostawcę elany.

Uff, taki już charakter chemii, że rozpedzona. To się tak udziela, że ominęliśmy ważne punkty na naszej drodze. A przede wszystkim została za nami

wiadomo, stolica

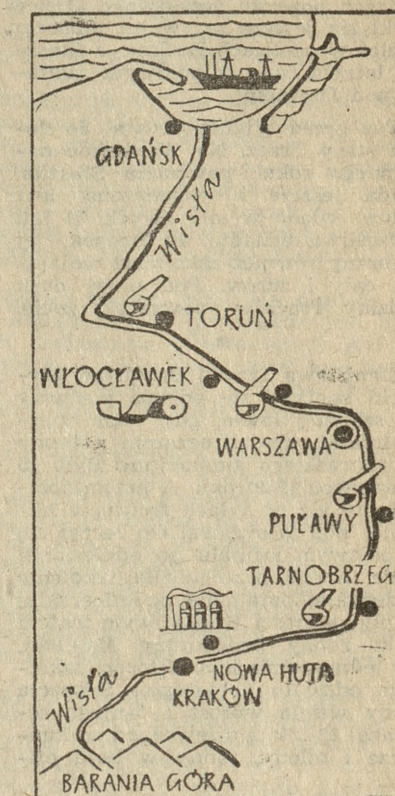
Wracamy więc w przestrzeni i — jeśli państwo pozwolą — w czasie. Jest rok 1946. W ówczesnej nieoficjalnej p. o. stolicy — Łodzi — na przedstawieniu „Żołnierza Królowej Madagaskaru” pani Mira Zimińska śpiewa wyszperaną z przeszłości piosenkę Bartelsa: „...mówili nie ma Warszawy, a tu jest Warszawa...”

I była Warszawa. Ale jaka? W gruzach, parterowa. Dziś Warszawa stoi, a 1 250 000 warszawiaków wciąż dyskutuje, co, gdzie i jak dalej budować. Syreni gród pozostaje jednym z największych zagłębi budowlanych, a obok normalnych funkcji stołecznych jest trzecim w kraju co do wielkości produkcji ośrodkiem przemysłowym. Proszę spojrzeć z lotu ptaka, co tu się skupiło: huta i odzieżówki, Fabryka Samochodów Osobowych i tarchomińska farmacja, czekolada i optyka. Szczególną jednak rolę odgrywa przemysł metalowy, a w jego ramach elektronika i teletechnika. Zwróćmy na to uwagę, bo to legitymacja dla postępu techniki, dla przejścia od podstawowych gałęzi przemysłu do najbardziej precyzyjnych i finiszowych.

Czas jednak opuścić stolicę. Mijamy Włocławek, gdzie powstaje

Franciszka Borowicz

WIELKA RZĘKA



pierwszy z dziewięciu stopni wodnych w dolnym biegu rzeki. Ledwo zawadzimy o Świecie, gdzie wyrasta gigant celulozowo-papierniczy i tak dotrzemy tam, gdzie Wisła

...wpada do Bałtyku

Oto Gdańsk. Tu rozkwita jedna z najmłodszych i najbardziej obiecujących gałęzi naszej gospodarki — przemysł stoczniowy. To Gdańsk wyróżnia się wśród najbardziej ruchliwych i najbardziej znanych na międzynarodowych rynkach dostawców okrętów. I nie tylko pod względem ilości wodowanych jednostek, ale i datę, że podejmuje coraz bardziej skomplikowaną produkcję, że specjalizuje się np. w pracochłonnych statkach rybackich, pływających bazach przetwórczych itd.

Na takie przedsięwzięcia można sobie jednak pozwolić tylko wówczas, gdy ma się wielkie przemysłowe zaplecze w kraju: huty, chemię, przemysł maszynowy i precyzyjny.

Nad Wisłą rozwinęły się te wszystkie gałęzie przemysłu. U jej ujścia mogą więc raz po raz rozlegać się syreny honorujące wodowanie nowych jednostek.

przez ekspozycje twórczości innych środowisk lub ich członków, a na corocznych kursach przeszkala młodych adeptów fotografii. Jest też PTF w tym szczęśliwym położeniu, że, jak na razie, ma dobry lokal, ma gdzie urządzać swe pokazy, kursy i poradnie fotograficzne. Oto także jedna z możliwości urządzania co roku wystawy prac członków sekcji artystycznej oraz popularnego już „Pierwszego kroku”.

Można zatem twierdzić, że określenie „fotografik” na równi pasuje do członków ZPAF-u, jak i do znacznej grupy noszących od dawna legitymację PTF. Jest też tajemnica poliszynela, że członkowie ZPAF chętnie korzystają z gościnnych progów salonu przy Paderewskiego. A więc — symbioza szlachetna, pożyteczna i słusna. Dawodzi ona tylko słusności tezy, że granica poziomów twórczości obu tych zrzeszonych grup bywa często niedostrzegalna.

Dokończenie na str. 2

Eugeniusz Cofa FOTOGRAFICY

Poznań nie od dzisiaj posiada w kraju markę aktywnego ośrodka fotografii i to tej na najwyższym poziomie. W jej rozwoju był kiedyś czas, gdy nasze środowisko promieniowało inicjatywą, a także wysokim artystycznym przedstawianym prac. Nie gdzie indziej, jak właśnie w Poznaniu powstało jedno z pierwszych w kraju Stowarzyszeń Miłośników Fotografii, po wojnie zamienione na Towarzystwo Miłośników Fotografii. Można rzec, że w pierwszych latach po wojnie nasi mistrzowie kamery potrafili właśnie w nadwarciańskim ardzie stworzyć niekiedy centrum ruchu fotograficznego.

Nie chce przez to stwierdzić, że w ostatnich latach zmalała ranga Poznania w tej dziedzinie. Jeśli nawet, to bynajmniej nie przez obniżenie lotów rodzimych artystów. Po prostu — rozwinął się ten ruch w całym kraju. Polska Federacja Towarzystw Fotograficznych liczy sobie już prawie 300 członków zbiorowych, takich jak m. in. Poznańskie

(od kilku lat) Towarzystwo Fotograficzne. Zwiększyła się też liczba oddziałów Związku Polskich Artystów Fotografików, liczącego w Poznaniu około 20 członków. Zresztą nie czemu innemu, jak podniesieniu poziomu twórczości służyć miała niedawno przeprowadzona weryfikacja członków PTF. W jej rezultacie liczba „płatnych składki” spadła ponad 100 do ok. 90.

Ale też nie liczby decydują o przeznaczeniu i twórczości tego typu stowarzyszenia.

Jeśli mówi się obecnie, bynajmniej nie po cichu, że poznańskie środowisko spadło jakoby do roli „najlepszego spośród średnich”, to nie trzeba przynosiwać temu twierdzeniu znaczenia negatywnego. Ci dwaj patronowie wszystkich „zarejestrowanych” zwolenników pracy

obiektywem czuwała nad tym, by całe środowisko nie wypadło z kursu, by nie obniżało poziomu swej twórczości. Przykładów nie trzeba szukać daleko. Sadząc po komunikatach prasowych — zarówno gościnne mury „Arsenatu” jak i popularny i stale cieszący się zainteresowaniem salon

Profile środowisk

PTF przy ul. Paderewskiego, goszczą w sobie coraz to nowe, iakże bogate zestawy interesujące twórczości autorów fotografii artystycznej.

Co godniejsze odnotowania, to fakt częstego udziału członków ZPAF lub PTF w wystawach, pokazach, salonach i prezentacjach krajowych lub międzynarodowych. Zwłaszcza członkowie ZPAF, jako ci do-

rzalsi, skrzętnie i słusznie odnotowują od wielu lat na swoim koncie sukcesy za granicami kraju. Sa wśród nich tacy, którzy dziesiątki razy brali udział w owych zagranicznych wystawach. Obok dawno znanych już artystów, w katalogach pokazowych młodszych, którzy prawo do członkostwa ZPAF uzyskali niedawno. Niektórzy ZPAF-owcy doczekali się już członkostwa FIAP (Federation Internationale de l'Art Photographique). W wyniku doskonalenia swego warsztatu twórczego, kilku z nich zdobyło tytuły Artiste de FIAP, bądź Excellence FIAP.

Większość dzisiejszych laureatów nagród międzynarodowych bądź krajowych przeszła ongiś przez żakowskie szranki SMF lub dzisiejszego PTF, zanim ono jeszcze zmieniło przydomek z „polskiego” na „poznańskie”. PTF nie ogranicza bowiem swej działalności do wyłącznego prezentowania prac swych członków. Stara się ono dostarczać poznańskiemu widzowi porównań

Losy rodu Traczów

Babcia Traczowa z Gieczynka Trzcińskiego ma blisko 80 lat. Starość zgarbiła jej plecy, poorała twarz zmarszczkami. Mimo to wciąż jeszcze czuje się pełnoprawną gospodynią. Wszak pierwsza z domowników przy była pod ten dach aż spod Zbaraża. Córka towarzysząca jej wówczas, w tej wędrówce i trudach wrastania w nową ziemię, spoczywa już na miejscowym cmentarzu. Czas zamażał ostrość konturów tamtych pożywnych tygodni 1945 roku, kiedy to obydwie zbierały z pól resztki zboża na chleb dla siebie i dla tych, których powrotu oczekiwały. Ojciec tkł się jeszcze ze swoim taborem gdzieś w okolicach Berlina, a Staszka leczyła rany w polowym szpitalu pod Dreznem.

Tuż przed Wigilią zawitał do domu stary Tracz. Na Wielkanoc następnego roku powróciła Staszka, blada jeszcze i wycieńczona, lecz pełna wiary w siłę swych 20 lat. Szczęśliwa ponadto, że Bronek, jej wybrany również zakończył wojaczkę, cały i zdrow. Pod nowy dach rodziny Traczów powracało życie.

*

Stanisława Tracz i Bronisław Myśliński spotkali się po raz pierwszy na szkolnej ławie, gdy jako czternastolatki składali egzamin wstępny do zbarazkiego gimnazjum. Było to w zeszłym 1939 roku. A potem spotkali się już na tyłach frontu w Miłosnej pod Warszawą. On leczył się w polowym szpitalu po odniesieniu rany, a ona przechodziła szkolenie w żeńskim batalionie podoficerskiej szkoły łączności. Szczęśliwym trafem lekko ranny podchorążym Myśliński, był jednocześnie instruktorem szkolnego oddziału kobiecego. Sytuacja jakby wzięta wprost z taniego romansu: 19-letnia dziewczyna w mundurze i młody, ranny w boju oficer...

Ale ich życie nie miało nic wspólnego z melodramatem. Kapral Stanisława Tracz nie mógł zapomnieć ani na chwilę o starej matce i siostrze, nad którymi wisiła ciągle groźba śmierci z rąk banderowców; a także o swym ojcu, który mimo pięćdziesięciu kilku lat tułał się po przefrontowych drogach, dowożąc na pierwszą linię amunicję i żywność.

Ofensywa styczniowa rzuciła chorążego Myślińskiego wraz z I Dywizją przez Wisłę i Warszawę na Bydgoszcz, Piłę, Jastrowie, Wał Pomorski, aż do Berlina. Radziska, teraz już plutonowa Tracz, pomaszzerowała z II Armią w kierunku Odry i Drezn. I tylko na krótkich postojach, gdy przychylał bój i uspokajały się radiostacje, rozłączeni narzeczeni pisali krótkie listy, w których donosili sobie, że znów udało im się przeżyć.

Pewnego kwietniowego dnia chorążego Myślińskiego, walczącego już niedaleko Berlina, otrzymał list, w którym jego dziewczyna donosiła mu, że Bogu dzięki żyje, ale otrzymała 8 ran od odłamków niemieckiej bomby, zaś jej współtowarzyszki zginęły w rozbitym wozie.

*

Nielatwe było życie zwycięzców wracających z wielkiej wojny. Swoje nowe domostwa zastali już spalane i spustoszone. Brakowało wszystkiego: żywności, odzieży, koni, bydła, narzędzi rolniczych. Ale wówczas największym skarbem było życie wyniesione z dopiero co zakończonej wojny.

FOTOGRAFICY

Dokończenie ze str. 1

Zarzuca się niekiedy naszym fotografikom, że obu zresztą „ucurupowali”. Jakoby nie potrafili czy nie chcieli odgraniczyć zawodowości od amatorsztwa. Osobiście nie czyniłbym z tego problemu. Niektórzy członkowie ZPAF czy PTF parają się, owszem, fotografią na co dzień, zarobkowo. Nie jest to jednak dla nich ta praca, która daje materiał na publiczny pokaz. Urządzenie wystawy, zebranie na nią materiału, kosztuje zazwyczaj wiele czasu, zachodu, ba — nawet pieniędzy. Ileż to razy czytamy w katalogu wystawy, zwłaszcza, gdy chodzi o pokaz indywidualny, że urządzono go z fundacji Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego czy Wydziału Kultury i Kształcenia RN bądź za pieniądze z kieszonki społeczno-mecenasa?

Stary Tracz wspominał jednak z żalem swoje frontowe koniki. Jak one by się teraz przydały... Albo gdyby tak przyprowadził ze sobą do Gieczynka chociaż ze dwie krowy, z owych setek ryczących krasul, które wypędzał z przefrontowych lasów i pól. Dobrze, że chociaż Traczowa przywlokła ze Wschodu krowinę i konia.

Gospodarstwo Traczów liczyło prawie 10 hektarów, z solidnymi murowanymi zabudowaniami. Jego byłym właścicielem — znany w okolicy hitlerowiec — uciekł wraz z wielu innymi na zachód przed zbliżającym się frontem. Zabrał też ze sobą wszystko, co miało większą wartość użytkową lub gospodarczą. Co po nim pozostało, padło łupem szabrowników.

Okolice tu piękne, falista, usiana lasami i lustrami jezior. Tylko ziemia gorsza niż pod Zbarażem. Wkrótce okazało się, że nie wystarczą stosowane w tamtych stronach sposoby uprawy. Piaszczysta gleba domagała się nawozów, solidnej orki, a tu w oborze wszystkiego dwa — trzy ogony. Stare spracowane ręce żądały odpoczynku, dawały też o sobie znać przebyte trudy wojenne. Szczęściem Staszka wracała do sił. Ale cios spadł z innej strony: umiera siostra Staszki. Na cmentarzu w Gieczynku wyrosła pierwsza rodzinna mogiła...

Nie tylko Staszka, ale i jej rodzice marzyli, żeby Bronek wrócił wreszcie z wojska i osiadł na gospodarstwie. Ale oficerowi łączności nie łatwo było zwolnić się do cywila.

W listopadzie 1947 roku Stanisława Tracz zostaje panią Myślińską. Pan młody przybył na ślub prosto z garnizonu, w mundurze i bez groźby przy duszy. Na ślub i wesele udało mu się pożywić trochę grosza od jednego z frontowych przyjaciół. Pamięta jeszcze do dziś jego słowa: — daję ci Bronku 50 000, bo wiem kto jesteś. Ale z czego mi ty biedaku oddasz?

Po krótkim okolicznościowym urlopie trzeba było wrócić do wojska, z którym na dobre rozstał się dopiero w roku 1950.

A w Gieczynku czekało na niego huk roboty. Upadające gospodarstwo wołało o rękę do pracy, o inwentarz, narzędzia rolnicze; mieszkanie o najprostsze chociażby sprzęty.

I tak w codziennym trudzie mijał rok za rokiem. Przychodziły na świat dzieci, przybywało dostatków.

— To wprost nie do wiary — mówi Myśliński — że Władka ma już 16 lat i w przyszłym roku szkolnym zdawać będzie maturę. Chodzi do ogólniaka w Dreźnie i mieszka tam w internacie. Marzy o wyższych studiach, o matematyce. Ale czy podołamy z wydatkami? Bo i Hania nie chce słyszeć o porzuceniu na podstawowej. Teraz jest w 6 klasie, uczy się bardzo dobrze. Tylko do szkoły mają nasze dzieci daleko. Aż do Krzyża muszą dojeżdżać po 4 klasy. W dodatku droga do szkoły beznadziejna. Można by ją wspólnym wysiłkiem ulepszyć, ale jakoś do czynów społecznych ludzie się nie kwapią.

I tak zeszła rozmowa na bolączki i potrzeby Gieczynka, których jest niemało. Przydałby się na przykład jakiś przybytek kultury i rozrywki, bo młodzi chuligania, a i kółko rolnicze nie może jakoś ruszyć z miejsca.

Myśliński mówi, że owa apatia, to skutek zlekceważonego przez tutej-

Wystawy nie przynoszą autorom dochodów. Zakupy pojedynczych prac należą do rzadkości, nie mówiąc już o sprzedaniu całego lub części zestawu wystawowego „na pniu”. Jest więc artysta-fotografik niewolnikiem swojego hobby.

Liczba wystaw w naszych poznańskich salonach jest zatem zależna nie tylko od liczby członków w ZPAF czy PTF, ale także od inwencji autorów, ich możliwości czasowych bądź wręcz materialnych. Ruch to kosztowny, wymagający stałego doparcia i opieki mniejszych mecenasów. Skoro już mowa o mecenasach — to najbardziej byłby on potrzebny tak specyficznym grupie twórców, jakimi są autorzy krótkometrażowych filmów amatorskich. Jak do tej pory działają oni wprawdzie przychyleni w swej sekcji do PTF, ale chyba bez zaplecza. Zwiększa tego finansowo-materiałowego.

Fotograficzne środowisko poznańskie zasługuje na opiekę. Na pewno



Barbara Mosiężna

Biało-czerwona kula

Staruszka ma już przeszło pół wieku. Co roku wyściaga się ją z pieczeniowicą wymoszczoną watą schowka i w momencie kiedy cała choinka błyszczy już srebrem lamety i cieszy oczy kolorowymi sznurami papierowych tańców — zawieszają się na najwyższej gałęzi, uważnie i delikatnie, tę właśnie, szarą już od starości, choinkową bombę.

Kiedyś, dawno już temu, dziwił się ceremonii jaką nasz ojciec stosował przy zawieszaniu na choinkę tej (wtedy jeszcze pięknej, biało-czerwonej) choinkowej bomby.

Trudno pamiętać, kiedy po raz pierwszy usłyszeliśmy historię honorowej ozdoby naszej choinki, ale odtąd co roku biało-czerwona kula była pretekstem do nigdy niewyczerpanych gwiazdkowych gawęd naszego dzieciństwa. Ona sprawiła, że zanim zaczęliśmy się uczyć historii z pod-

szere władze wysiłku wsi, która parę lat temu podołała się do budowy domu kultury. Zgromadzono kilka tysięcy cegieł i dachówek, zakupiono dźwigary, przygotowano projekty. Nikt się wówczas nie ośmiągał w robocie. Inwestycja nie weszła jednak do powiatowego planu. Więc gdy teraz wspomina się coś o czynieniu społecznym, to każdy wskazuje na kupę szmelcu w miejscu, gdzie stanąć miał przybytek wiejskiej kultury.

— Szkoda — mówi Myśliński, że nie można tak jak bywało na froncie — rzucić rozkaz: „naprzód!”

Okazuje się, że to zwyczajne, codzienne życie jest bardziej złożone i trudne. Frontowe nawyki znajdują zresztą swoją namiastkę w dowodzonej przez Myślińskiego oddziale Ochotniczej Straży Pożarnej, najlepszej ponoć w powiecie. A że okazji do gaszenia pożarów brak, bo srogi przepisy prewencyjne przepędziły ze wsi czerwonego kura, więc warto by chyba znany rozkaz: „woda wyżej!” uzupełnić zawołaniem: „Gieczynki wyżej!”

stać je na to — od strony warsztatu — by poznańska publiczność częściej oglądała dowody rosnącej twórczości licznej wszakże grupy naszych fotografików. Ale do tego potrzeba bodźców finansowych. Potrzeba takich konkursów, jakie organizowało już WTK. Być może stać naszych mistrzów kamery na wspólne wystawy prac członków ZPAF i PTF (takiej — o ile pamiętam — jeszcze nie było), można by, na wzór środowiska plastycznego, organizować letnie czy zimowe plenery, można wreszcie postarać się o to, by zakładowe świetlice, kluby i inne lokale o charakterze publicznym przyozdobić również dobrą fotografią. Warto też pomyśleć o urządzeniu kiermaszu dobrej fotografii. Wreszcie — widzę też konieczność urządzania częściowych konkursów i pokazów krótkometrażowych filmów amatorskich. Tematów dla kamery fotograficznej bądź filmowej nie brak w naszej rzeczywistości.

EUGENIUSZ COFTA

Rys. Ewa Pruska

ręczników szkolnych, wiedzieliśmy już dużo o ziemi naszych rodziców, o historii nieugiętej i wytrwałej walki o jej wolność, krzepionej miłością najpiękniejszą, najbardziej bezinteresowną — miłością do ojczystego kraju.

— Te bomby choinkowe robili wówczas nielegalnie polscy rzemieślnicy — rozpoczynał swe opowiadanie ojciec — i rozprowadzali po domach polskich. Byliśmy wtedy w niewoli pruskiej i wszystko, co polskie było niepożądane. Choinkową ozdobę, symbolizującą polski sztandar, dostaliśmy od mojego ojca w nagrodę. A było to tak. Na uroczyste otwarcie Zamku miał przyjechać do Poznania sam cesarz niemiecki. Nauczyciel śpiewu, hakatysta Schwarcz, uczył nas na tę okazję hymnu niemieckiego. Kiedy przyszedł do indywidualnego przepytania zadanych strof — wstałem, odpowiadając, że nie będę się tej pieśni uczył, bo jestem Polakiem. W rezultacie Niemiec zbił mnie tak, że tydzień nie mogłem się ruszać. Ojciec mój zawezwał lekarza i na podstawie jego świadectwa wytoczył nauczycielowi proces sądowy. Jasne, że przegrał. Ale wśród wszystkich kolegów, krewnych i znajomych otoczony byłym odtąd wielką przyjaźnią i serdecznością; a od ojca dostałem na gwiazdkę tę właśnie choinkową bombę.

Ten początek opowieści wywoływał zawsze wśród nas chęć dowiedzenia się więcej i więcej. Nie było więc końca pytań i nie było końca choinkowej gawędy. Więc o tym, jak to w czasach zaboru obchodzono w stowarzyszeniach polskich (legalnych i nielegalnych) wszystkie rocznice historycznych wydarzeń, jak przygotowywano przedstawienie amatorskie patriotycznych sztuk, jak mimo szarzy żandarmerii pruskiej składano manifestacyjnie wieńce przed pomnikami Mickiewicza i Kochanowskiego w Poznaniu, jak po domach uczono języka polskiego i pielęgnowano polskość droższą ponad wszystko inne.

Ale najważniejszy fragment choinkowej gawędy — stanowiło Powstanie. Wtedy do opowiadania włączyła się zawsze matka.

— W ten dzień byłam w teatrze na popołudniowce... Grał wtedy „Betlejem Polskie” Rydla. W pewnej chwili na scenę wszedł ulubieniec poznańskiej publiczności — aktor Ryll i zawołał: „W

mieście powstanie! Rodacy do broni!” Nie było żadnej paniki. Nosiliśmy się już z tą myślą od dawna. Wszyscy mężczyźni wybiegli na ulicę. Kobiety i dzieci zostały na miejscu i dopiero o zmierzchu opuściły gmach teatru. Śródmieście było już wtedy w rękach Polaków.

Nie możecie sobie wyobrazić, jaka wśród nas Polaków panowała wtedy atmosfera. Każdy chciał się jakoś przyczynić do zwycięstwa Powstania. Kobiety sporządzały bandaż, pomagały w kuchniach polowych i w szpitalach. Zewsząd posypały się dary na utrzymanie formującego się wojska polskiego. Oddawano obrączki i pierścionki — nieraz drogocenne pamiątki rodzinne. Sercem byliśmy wszyscy z powstańcami.

Ojciec o powstaniu mówił jakoś bardzo zwięźle, z domieszką gorczy, którą zrozumieliśmy w pełni dopiero wiele lat później.

— Powstanie było przygotowywane już od listopada. Kiedy wróciłem do połowie listopada z wojny, od razu trafiłem w szeregi organizującej się Straży Ludowej. W czasie powstania walczyłem przy zdobywaniu koszar na Solnej, a po zdobyciu Poznania pełniłem przez kilka tygodni służbę w Straży Ludowej. W Poznaniu poległo wielu moich serdecznych druhów. Pod Rawiczem zginął mój kuzyn Wozowski. Ale cóż z tego. Co nam przyniosła krew przelana o wolność ojczyzny? Nie taką Polskę mieliśmy na myśli.

I ojciec znowu wracał wspomnieniami do lat młodzieńczych, kiedy to w tajnych stowarzyszeniach polskich rysowano kształty wymarzonej ojczyzny.

W czasie okupacji hitlerowskiej biało-czerwona kula zawieszaliśmy nie na choinkę, lecz na gałązki z trudem zdobytego świerku. Wtedy nie śpiewało się wesołych kołęd. Śpiewało się kołędą jedyną, najpiękniejszą — „Jeszcze Polska nie zginęła”.

*

Dziś, kiedy Powstanie stało się nie tylko legendą wielkopolskich domów, kiedy czci je naród cały — dzieci nie tylko z rodzicielskich gawęd dowiadują się jego historii. O bohaterach zrywie wielkopolskiego ludu mówią księżki historyków, karty podręczników szkolnych, wystawy i publikacje. A spod Obeliska Chwały, wzniesionego z najgłębszej chęci serca narodu — patrzą na miasto dwaj spłótni Powstańcy, symbol nieugiętej straży nad Wartą i Odrą.



Dokończenie ze str. 1

ziem wschodnich specjalne dodatki wschodnie. Owych nauczycieli — Niemców próbujących z poświęceniem proporcjonalnym do długości trzcin, wychowywać na dobrych chrześcijan, uczyć katechizmu w „kulturalnym języku”, krnąbrne dzieci wrzesińskie. Owych chłopów — Niemców przorszonych przez królewsko-pruską komisję kolonizacyjną, by raczyli objąć „porzuconą” przez Polaków ziemię.

Czyżbyś ty rzeczywiście nie mógł zrozumieć — będzie twierdził ktoś w Bonn, wykorzystując argumentację listu biskupów niemieckich, określonej przez polskich jako nacechowaną duchem soborowym — że ci nieszczęśliwi cierpieli i tęsknili za „stronami ojczystymi”, z których musieli uchodzić po Powstaniu Wielkopolskim? Na przykład Artur Greiser, który urodził się w Środzie, ponieważ jego ojciec został tam przez władzę sprowadzony na komornika sekwestrującego źle gospodarujących chłopów polskich? Albo Heinz Reinefarth, który urodził się w Gnieźnie, ponieważ i jego ojciec został tu ściągnięty przez władzę na sędziego przeciwko polskim przestępcom, np. krnąbrnym buntownikom z Wrześni?

A wreszcie wkrótce ktoś przedstawi tam w Bonn koronny zarzut: antychrześcijańskie postępowanie powstańców. Przecież podnieśli broń przeciwko braciom-chrześcijanom, przychodzącym na te ziemie pod hasłem „Gott mit uns”, uwidocznionym nawet na klamrach żołnierskich pasów.

Prawdę mówiąc, nie będę się dziwił takim zarzutom. Skoro bowiem tam w Bonn mają już czarne na białym, w dodatku po niemiecku, prośbę biskupów polskich o przebaczenie za krzywdy wyrządzone Niemcom w wyniku ostatniej wojny, dlaczego nie mają domagać się tych samych kryteriów moralnych przy ocenie wydarzeń lat 1918/19? Skoro zaś w oparciu o argumenty, dostarczone przez polskich biskupów, wykażą grzeszny charakter Powstania Wielkopolskiego i jego następstw, łatwo też udowodnią, iż to my ponosimy winę za to, co oni sami dokonali „na zaproszenie rodzimego fuhrera” w latach 1939/1945.

Bo — logicznie rozumując według tych kryteriów — gdybyśmy nie rozgniewali w roku 1918 ówczesnego gefreitera — inwalidę szukającego w Poznaniu spokojnego leczenia później zaś jeszcze „gwaltami” Powstania Wielkopolskiego, może mógłby inaczej z nami postępować po roku 1939. Nie byłby też dla nas tak surowy Greiser. Ani nie uważałby za niezbędne zapobiegać nowym spiskom antyniemieckim greiserowski szef policji i SS Reinefarth.

Przebolejemy i te oskarżenia. Bowiemy wbrew zrodzonym ostatnio w NRF nadziejom, nie zgadzamy się jako naród z moralnością pokory niewolniczej. Nie nawykliśmy do błagania ciemnych o prawo do egzystencji.

ZBIGNIEW SZUMOWSKI

Z SYBERII I DALEKIEGO WSCHODU

Nie mniej niż 5000 lat temu znano już tę roślinę w Chinach i Tybecie. Tamtejsza medycyna właśnie najwcześniej ją wykorzystywała w leczeniu. Roślina to trawista, nad ziemię wypuszcza pędy najwyżej do metra, kwiaty ma zielonkawe, natomiast owoce czerwone, które pozwalają ją znaleźć w gęstwinie tajgi. Szukano jej z zapamiętaniem, nie szczerząc życia, otaczała ją aureola legend i podań. Żeń-szeń, bo o nim tu mowa, odgrywał przez dziesiątki wieków wielką rolę w kulturze, handlu, a nawet polityce zagranicznej Chin i innych państw wschodnio-azjatyckich.

W bajkach przypisywano korzeniowi żeń-szenia niezwykle właściwości: miał fosforować zielonym światłem, zgubnym dla złego człowieka. Tylko człowiek z czystą duszą mógł znaleźć w tajdze tę roślinę, zły nie tylko nie znalazł, ale błądził i padał łupem tygrysów. „Duch ziemi”, „Rodzina ziemi”, „Święta trawa”, „Korzeń życia”, „Człowiek-korzeń” — oto nazwy jakie dawano roślinie najczęściej, przy czym ostatnia z nich stanowi dosłowne tłumaczenie słów „żeń-szeń”, a bierze się stąd, że korzeń rośliny istotnie przypomina figurę ludzką. Ale nade wszystko żeń-szeń miał stanowić panaceum na wszystkie dolegliwości, miał być cudownym lekiem „na wszystko”.

Medycyna wschodnia stosowała go uparcie. Ponieważ roślinę coraz trudniej znaleźć w tajdze (obecnie rocznie zbiera się 100 do 200 kg dziko rosnącego żeń-szenia; bardzo mało), przeto próbowano hodować go sztucznie. Już od 600 lat w Korei znana jest taka uprawa, tamtejsi hodowcy mają największe doświadczenia, Korea jest największym na świecie dostawcą żeń - szenia. Japończycy podczas wojny poznali wszelkie tajniki uprawy i obecnie w całości sami zaspokajają swoje potrzeby.

Po II wojnie światowej medycy i farmakolodzy orzekli, iż tysiąclecie historii żeń-szenia były czystą mistyfikacją, bowiem nie ma i być nie może lekarstwa uniwersalnego, „na wszystko”. Wtedy właśnie zagadnienie to zainteresowało młodego, a dociekliwego lekarza radzieckiego marynarki wojennej na Dalekim Wschodzie I. I. Brechmana, który jeszcze będąc w wojsku zrobił dyktando kandydacką, m. in. okupioną nawet aresztem, bowiem jednak praca naukowa koliduje z zajęciami wojskowymi, czego w pewnym okresie nie chciał zrozumieć. On to, przechodząc już na dobre do nauki, wziął się za żeń-szeń, o którym na Dalekim Wschodzie ciągle słyszał, ale o którym w literaturze znajdował mało i to zwykle, jako o środku działającym bardziej psychologicznie niż biologicznie. Trzeba było to najpierw sprawdzić.

Wziął więc 100 ludzi, którym dał do wypicia wódkę. Połowa dostała zwykłą, a połowa z żeń-szeniem, przy czym nikt nie wiedział jaką wódkę wypili. Po pół godzinie otrzymali zadanie przebiegnąć 3000 m. Wszyscy, którzy otrzymali żeń-szeń mieli lepsze rezultaty. Potem

odbyto wiele prób w różnych dziedzinach wydajności pracy. Wszystkie wyniki, wszystkie testy potwierdzały, że żeń-szeń zwiększa rezultaty. Koordynacja ruchu jest lepsza, praca umysłu sprawniejsza, większa wydolność fizyczna organizmu.

Jednakże wszystko to robiono na ludziach zdrowych. Tymczasem na Wschodzie jest to środek do leczenia chorych. Próbowano więc go najpierw na zwierzętach. Etylizowaną benzyną zatrutowano myszy, by je wykończyć nerwowo, zniszczyć w nich wszelkie refleksy, których przedtem je wyuczone. Okazało się, że tylko myszy, które przyjmowały żeń-szeń nie utraciły tych refleksów. Podobne efekty dały eksperymenty na psach. Potem wywoływano u zwierząt różne choroby i leczono je żeń-szeniem. Wszystko to potwierdziło, że żeń-szeń jest środkiem leczniczym. Następnym etapem było leczenie ludzi chorych.

Robiono to w klinikach pod nadzorem Brechmana, wówczas już naukowca, pracownika Instytutu Biologicznych Aktywnych Wyszczestw we Władywostoku, stolicy

Mieczysław Skąpski

KORZEŃ ŻYCIA

Nadmorskiego Kraju. Opisał rezultaty swoich doświadczeń w książce, którą natychmiast przetłumaczono na japoński i chiński.

Obecnie Brechman jest profesorem i jednym z filarów Instytutu, którego dyrektorem jest Georgij Borysowicz Jelakow, młody entuzjasta problemów Dalekiego Wschodu, a Oceanu Spokojnego w szczególności. Oni to wtajemniczają polskiego dziennikarza w tajniki żeń-szenia, którym od ładnych paru lat zajmuje się w Instytucie grupa ludzi. Tu stwierdzono, że hodowany żeń-szeń w niczym nie ustępuje dzikiemu, a nawet go przewyższa, za to ustalono metody hodowli (z Korei w aktualnej sytuacji politycznej nie można było ich zdobyć), a także ustalono najlepsze warunki, dla uzyskania maksymalnej aktywności żeń-szenia.

Na czym polega trudność? M. in. na tym, że żeń-szeń rośnie niesłychanie wolno. Dopiero w 10-15 lat od zasiania staje się produktem towarowym. Instytut więc założył własną hodowlę i dziś, po kilkunastu latach, gdy posiadł wszystkie tajniki, daje nasienie specjalnie założonemu sowchozowi żeń-szeniowemu. Za parę lat sowchoz będzie miał pierwszą produkcję towarową. Potem za następne 5-6 lat będzie można już zaspokoić potrzeby ZSRR.

Kiedy więc uznano, że warto się tym problemem zająć, zrobiono to wszechstronnie i kompleksowo. Zbadano w całości chemiczną strukturę rośliny, wiadomo dziś dokładnie, co się w niej dzieje. Na porządku dnia staje więc... syn-

tetyczny żeń-szeń. W tej chwili Instytut ma wyprzedzenie w badaniach w skali światowej co najmniej o kilka miesięcy. Konkurentami zresztą są w zasadzie tylko Japończycy, którzy prowadzą badania na dużą skalę i w dużym tempie.

Higiena pracy, medycyna sportu i kultury fizycznej — na styku tych nauk przede wszystkim stwierdzono ponad wszelką wątpliwość iż żeń-szeń wydatnie poprawia żywotność organizmu. Dyrektor Jelakow tak to obrazowo tłumaczył: „Weźmy samochód, nawet nowy. Niby wygląd bez zarzutu, a coś słabo ciągnie, nie ma pełnej mocy. Okaże się, że wystarczy podokręcić różne śrubki, wyregulować gaźnik itp., aby w samochód wstąpił nowy duch, aby moc jego znacznie wzrosła. Otóż tak właśnie działa żeń-szeń na żywy organizm, odgrywa rolę regulatora całego organizmu”.

W jaki sposób to się w organizmie dzieje, jeszcze nie wiadomo. To się bada. Wiadomo jednak, że co najmniej o 30% poprawia normalną wydolność organizmu, że 5-10 razy skraca przyzwyczajanie organizmu do większych wysiłków, że znakomicie działa na nerwy, na ogół na stan organizmu, na impotencję. (Wiele świetnych wyników na inwalidach wojennych, zwłaszcza marynarach). Żeń-szeń doprowadza do normy procesy zachodzące w człowieku, także gdy jakieś procesy przebiegają nadmiernie. Żadne lekarstwo nie działa w taki sposób. Więc też zainteresowanie medycyny żeń-szeniem szybko rośnie.

Instytut pracuje w ścisłym kontakcie z medycyną, nawet z Instytutem Medycyny Kosmicznej. Obecnie odkryto iż podobne właściwości co żeń-szeń ma eleuterokok — krzak rosnący w tajdze w wielkich ilościach. Już się z tego produkuje lek dostępny w aptekach. Ale badania nad żeń-szeniem trwają, bo np. wiadomo, że jest on niezastąpiony gdy idzie o leczenie ludzi starych. Trzeba ponadto doprowadzić badania do końca, wyjaśnić wszystkie tajniki, więc i to w jaki sposób żeń-szeń działa w organizmie. Jeśli do tego czasu będzie już syntetyczny żeń-szeń, tym lepiej.

Oczywiście, żeń-szeń jest tylko fragmentem badań prowadzonych przez Instytut, którego specyficzny charakter polega właśnie na tym, że zajmuje się unikalnym problemem występującym tylko na Dalekim Wschodzie. Przede wszystkim jest to Ocean Spokojny z jego niezmiernymi bogactwami. Moi rozmówcy nie ukrywali, że Amerykanie i Japończycy w tych badaniach poszli daleko naprzód. Teraz ZSRR stara się ich dopędzić. Dotychczas bowiem stosunek do morza był czysto praktyczny: wyciągnąć jak najwięcej tego co się da zjeść. Dziś idzie o to, by wyciągnąć z oceanu także surowce dla przemysłu. Uczeń musi jednak wprawdzie rozemnieżyć się w tym, co i dlaczego. W rosnącym centrum naukowym nad Amurskim Zalewem na przedmieściu Władywostoku tym się właśnie zajmują.

Wiesław Porzycki

Magistrala słońca

Zima w pełni, lato daleko, wieczorne rodaków przy telewizorze rozmowy często pobrzmiwają nutką tęsknoty za okresem urlopów, czasów. Pozwólcie, że się do tych nostalgicznych pogaduszek włączę, dorzucając... tyk słońca.

Tak się we wrześniu złożyło, że miałem do wyboru: albo przez cztery dni prażyć się na którejś z dubrownickich plaż, albo odbyć samochodem podróż do Rijeki. Wybrałem to drugie. Siedemset kilometrów oszalałej drogi, zwanej przez tubylców Jadranską (Adriatycką) Magistralą. Drogi, wymagającej od prowadzącego pojazd bezbłędnej opanowania kierownicy; od wozu — niezawodnych hamulców, sprawnego układu sterowniczego i dobrych opon.

Geograf powiedziałby: linia brzegowa Adriatyku po stronie jugosłowiańskiej jest bogato rozwinięta. W praktyce oznacza to fiordy południa; setki zakrętów wokół zatok i zatoczek, obłęd serpentyn, widoki jak z nachalnych oleodruków z wysnionymi wysepkami szczęścia pośród szmaragdowych fal.

Całą magistralę Rijeka — Bar przekazano dopiero niedawno do użytku. Droga zrealizowana została wspaniale. Stosunkowo niewielkie różnice wzniesień, do pokonania nawet przez wysłubyskie „Citroeny” 2CV. Precyzyjne oznakowanie. Czasem aluminiowe, czasem kamienne bariery nad przepaściami, a czasem niczym nie zabezpieczona otchłań. A w dole, 10, 50, 100 metrów od nas — morska toń, bryzgi fal, monotonna szturmująca skały. Widziałem parę wozów, których kierowcy nie zdolali utrzymać się na szosie. Eeeech, nie ma o czym, a raczej o kim, mówić...

Ta droga oczarowuje. Zrzadka tunel, czasem most lub miejsce postojowe. Bo niemal bez przerwy wstęga asfaltu przetykana jest białą pasmą, zakazującym wyprzedzania. Ostrzeżenia o spadających głazach, których zwaly — szarych lub rdzawych — zdają się napierać to z jednej, to z obu stron na szosę. I obok ten stary, widoczny co chwila, genialnie zbudowany, sprzed setek lat — trakt, dzieło Rzymian, realizowane siłami niewolników.

Cała autostrada urzeka widokami, najurodziwszy jest chyba jednak odcinek Dubrovnik — Metkovic. Powiedział ktoś w ramach „przekrojowych” myśli, że dla kierowcy bywa zabójcza mieszanka kociaka z al-koholem. Na Jadranskiej Magistrali natłok wrażeń może mieszankę tę uczynić piorunującą... Doprawdy, nie wiadomo, w którą stronę skierować wzrok. Sama szosa fascynuje wzniesieniami, zakrętami, zza których wypadają co rusz pękate autobusy lub ciężarowe kolosy, jakby ciągnące za sobą sznury zastopowanych wozów prywatnych. Od czasu do czasu śmiga „Zastava 1300” lub ta mała, zwana tu pieszczotliwie „ficzia”, z niebieską tablicą „milicija”, albo żółty wóz technicznej pomocy, patrolujące autostradę.

Zbocza kamiennych gór są stronne, niegościnne, utkane zielenią śródziemnomorskiej roślinności. Drzewa oliwkowe, figowe, gdzieniegdzie paraselowata pinia lub strzelisty cyprys, widuje się agawy, rzadziej palmy. I w dole, po lewej, wody Adriatyku, bajecznie ciepłe w porównaniu z Bałtykiem, nawet zimą temperatura ich nie spada poniżej 13 stopni. Cudowna jest ta woda: gra promieni słonecznych i cienie skał zmieniają barwę toni od szmaragdowej poprzez błękitną, do granatowej lub posrebrzanej.

Tu i tam jakaś łódź, kuter rybacki, motorówka, jacht, stateczek lub pełnomorski statek. Majaczące w oddali brzegi wysp i tuż, tuż, blisko, wysepki jak ze snów, z grupką drzew i bryłą przytulonych do nich domostw, jaśniejących w słońcu białą ścianą.

Chwilami, gdy szosa odbiega od wybrzeża, po obu jej stronach ciągną się kamieniste zbocza, z których pracowite rece zebrały glazy, tworząc z nich rodzaj ogrodzeń, oddzielających poletka, czy ogrody. Trzeba się do tego widoku przyzwyczaić; ta masa kamienia, jako — tako uporządkowanego przez człowieka, sprawia początkowo wrażenie, jakby obok drogi prowadzono roboty publiczne na wielką skalę.

Czasem na rozpalonym asfalcie magistrali, szczególnie w południowej Dalmacji, spotkacie wieśniaków z objuczonymi osiołkami. Nie brak miejscowych kobiet, godnie kroczących z tobołkami na głowach, a także dzieci, oferujących przejeźdnym owoce.

Obokofajowy, przemierzający autostradę, wszystko to zawzięcie fotografują albo filmują. Można tu zobaczyć przy tym sceny jak z hollywoodzkich filmów. Widziałem jegomościa w olbrzymim „Mercedesie”, prowadzonym przez szofera w kapaciej od złota liberii. Innym razem uwagę moją zwróciła brytyjska para w „Jaguarze” — ona młoda, za

Dokończenie na str. 4

Zamiast motto:

Uprawa wina w Tokaju jest czymś więcej niż umiejętnością. Jest sztuką. I namiętnością. Wino, jak umiłowane dziecko, wymaga zawsze najtroskliwszej opieki.

Kiedyś piliem prawie stuletni tokaj. Pokój wypełnił się jego aromatem, jakby nagle do domu przeniknął ogród pachnący kwiatami. I było jeszcze coś, czego nie mogę powiedzieć... Zapomniałem.

Tokaj, to napój zapomnienia.

Tokaj, to stare kilkutysięczne miasteczko w północno-wschodnich Węgrzech. Ono to właśnie dało nazwę znakomitemu gatunkowi wina, które z kolei zrewanżowało się miasteczku sławą i bogactwem. Historia okolicy obfituje w wydarzenia, w wielkie czyny i klęski. Popatrzmy na nią inaczej niż się patrzy zazwyczaj. Niechaj jej głównym bohaterem będzie złocisty napój.

Zacznę się od czasów cesarza Rzymian, Marka Aureliusza Probusa, który przysłał tu pierwszą winorośl aż z okolic dymiącego Wezuwiusza.

Włóczę się po ulicach Tokaju. Niby po to, żeby poznać atmosferę tego miasteczka, a właściwie bez określonego celu. Potykam się z kocię bby, oglądam pieczołowicie odrestaurowane stare domki i zabytkowy ratusz. Tam, gdzie rzeka Bodrog wpada do Cisy, stał niegdyś zamek. Zostały po nim tylko ruiny przypominające bogatą przeszłość tych stron. Zamek chronił miasto, którego wino i malowniczy krajobraz tak często przyciągały węgierskich królów. W 1241 roku rozbrzmiewały tu dzikie krzyki Tatarów, którzy zburzyli zamek i zniszczyli winnice. W czasach „drugiego założyciela” państwa, króla Węgier Beli IV (1206-1270) do Tokaju przyszedł znów osadnicy z winoroślami.

Historia nie skąpiła miastu i jego mieszkańcom przeżyć: wielokrotnie było sprzedawane przez jego panów, padało też pastwa ognia lub różnego autoramentu grabieżców. Aż do czasu niewoli tureckiej w 1526 roku o piw-

nice walczyli, nawzajem napadając na siebie królowie Janos i Ferdynand. Niemieccy żołdacy kapali się we krwi i w winie, a w wytłaczarniach winogron śmierć obchodziła swe święto. Piwnice opustoszały. Austriacki generał Giorgio Basta, potomek rodziny włoskiej, napadł na Tokaj i spalił go, a tych mieszkańców, co przeżyli, wypędził.

To tylko cząstka bogatej ale i wyjątkowo krwawej historii malowniczego miasteczka, którego przeszłość zna tu prawie każdy. Prawie każdy także tu wie, na czym polega tajemnica tutejszego wina, o które spragnieni władcy prowadzili wojny, o które walczyli i ginęli najemni żołdacy; wina, które rozpałało serca, które jest tak wysoko cenione w świecie?

Sandor Petöfi, węgierski poeta wolności, tak pisał o Tokaju:

Marian Fleisierowicz

Tajemnica tokaju

„W tym mieście i w okolicznych górach mieszkają bogowie radości; stąd wysyłają swych posłów — złote promienie zamknięte w butelkach — by oznajmiali wszystkim narodom, że świat nie jest padolem płaczu.”

Voltaire otrzymał kiedyś 100 butelek tokaju od pewnego węgierskiego hrabiego „nieznanego szerzyciela idei Voltaire’a. Francuski filozof i poeta — jak przekazują kroniki — rychno poznał wartość podarunku. Kiedy po jakimś czasie znów otrzymał przesyłkę z Tokaju od owego arystokraty, nie wiedzieć czemu flirtującego z ideami rewolucji, podziękował z szelmowskim humorem:

„Nie wiem czemu przypisać Pańskie podarunki. Może uważa mnie Pan za proboszcza? Może za przeora klasztoru Saint Gallen?...

Tak czy inaczej Pańska wielka dobroć utrudnia mnie, staremu człowiekowi, pozostać trzeźwym...”

Anatol France głosił hymny na cześć tokaju: „Wyróżniłem jedno szkło podczas pisania i oto nimfy biłogiego spokoju zaczęły mnie kokietować... Tokaj to napój zapomnienia. Jakże szczęśliwy jest kraj, gdzie z matki ziemi wypływają źródła strodkie jak miód”.

Na czym polega tajemnica tokaju? — pytanie to wraca w myślach podczas wędrówki ulicami miasteczka. Niepokoju z uporem natręta, który nie pozwala się zbyć byle czym. I niepokoić będzie dopóty, dopóki nie zaspokoju ciekawości sam József Mosolygo, znakomity znawca i niestrudzony badacz tokajskich win. Spotykamy się w chłodnym pokoju starego domu, z którego okien widać ruiny zamku. Tego samego, co w XIII wieku

zburzyli Tatarzy. — Wielu ludzi mówi — zaczynam rozmowę — że źródłem doskonałości tokaju jest specyfika tutejszej ziemi wulkanicznej.

— Dlaczego wobec tego nie ma żadnego wina typu tokaj w pozostałych górach wulkanicznych, na przykład w Karpatach? — odpowiada pytaniem. Mówi to tak po prostu, że sprawa wydaje się oczywista. Mój rozmówca uprzedza dalsze pytania, jakby już nierzaz z nimi się spotykał:

— Powołują się też na słońce. Ktoś wyliczył, że w tej okolicy słońce świeci przez rok około 1780 godzin. Ba, okazuje się, że tych słonecznych godzin jest nawet 2700! Ale gdyby słońce było złotym kluczem do tajemnicy, krajem najznakomitszego wina tokajskiego musiałoby stać się Marokko.

Daje mi jeszcze broszury o tokaju. Czytam w nich, że czas dojrzewania winogron w okolicy Tokaju trwa dwa miesiące dłużej niż gdzie indziej. Dojrzewają w październiku. Ale jeszcze do połowy listopada, a nawet i dłużej, grona pozostają na krzakach aż do właściwego dojrzewania, a ściślej mówiąc do przejrzenia. Gdzie indziej winogrona mogą pozostać na krzakach po dojrzewaniu najwyżej 10-12 dni. Tutaj półtora miesiąca i dłużej. Ta nadwyżka czasowa odróżnia tokajskie od innych winogron świata.

— Siła wina zależy od ilości cukru zawartego w gronach. Aromat i bukiet — od innych składników: kwasów, części składowych łożdżek dźwigających grono, pestek i łupinek. W suchych, zwiedzionych łożdżkach nie ma żadnego wartościowego składnika. Nasze żyjące na krzewach grona zachowują te składniki. Inni wystrzegają się gorzkiego smaku łożdż; natomiast my je cenimy. Grona tokaju przeżywają swoje rodzeństwo z innymi stron. Podczas chłodnych jesiennych nocy skórka „przejrzałych” winogron staje się coraz cieńsza, aż w końcu pęka, powodując wypływanie soku.

— Grona płaczą...

— Tak, ale płaczą łzami czystej wody. Reszta cennego soku pozostaje. Od tego czasu rozpoczyna się czas „szlachetnego dojrzewania”. Z takich winogron powstaje tokaj.

☆

Ludzie mówią, że „tajemnicę tokaju” odkrył przypadek. Podczas jednej z pożóg wojennych średniowiecza ludzie uciekli przed napastnikami, pozostawiając winnice tuż przed winobraniami. Wrócili do nich dopiero w połowie listopada. Grona już przejrzały, przyschły. Chcąc ratować co się da, zrobili z takich winogron wino, które okazało się inne w smaku, szlachetniejsze, pełniejsze, mocniejsze. To był właśnie tokaj.

